

Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędną
KAWIARNIA J. BISANZA
 w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parter

Kronika tygodniowa.

I już zdawało mi się, że moje żądanie będzie uwzględnione i doczekamy się nareszcie babiego lata, tymczasem aura jest znowu tak grymasna, jak nie przymierzając niejedna z naszych pań, która nigdy nie wie, czego się jej zachce.

Jeden z naszych domorosłych astronomów (zarazem i meteorolog z Bożej łaski), przekonywał mnie wprawdzie, że z dniem 21 września pogoda się ustali, gdyż w tym dniu zaczyna się urzędowo jesień, pokazało się jednak, że i on się pomylił.

Najbardziej irytują mnie żywe barometry, to jest koguty, które ciągle pieją i zwiastują tem zmianę pogody, niestety, zawsze na gorszą, wypowiedziałem im t. j. wojnę na śmierć i życie i nakazałem urządzenie w domu rzezi niewiniątek, przy pominiętej historyczną noc świętego Bartłomieja.

Z powodu niepogody nie udało się tradycyjną wycieczkę na odpust do Mogiły, co bardzo zmartwiło nasze panie, a jeszcze bardziej różnych przedsiębiorców, którzy przygotowali się na przyjazd miłych gości, ale w żaden sposób nie mogli się ich doczekać, opóźniły się także odwiedziny panów ministrów.

C. k. meteorolog wiedeński orzekł, że pogodę będziemy mieć w Galicyi dopiero w niedzielę i, o dziwo, nie pomylił się, widocznie i tam w górze liczą się ze zdaniem Wiednia.

W granice Galicyi i Wielkiego Księstwa Krakowskiego wkroczyli goście w nocy z niedzieli na poniedziałek i przez cały ten dzień cieszyli się piękną polską jesienią, niestety, już we wtorek otworzyli się lekko niebieskie upusty.

Podobno galicyjski przemysł w tak zwanym Zagłębiu krakowskim, wywarł na przedstawicielach rządu jak najlepsze wrażenie, pokazywano im jednak ma się rozumieć tylko to, co zasługuje na oglądnięcie. Bardzo smakował im także obiad wydany przez gwarectwo brzeszczańskie, no i uczta w Starym Teatrze w Krakowie, urządzona przez naszą gościnną Radę miejską.

„Zastaw się, a postaw się“, to piękna maksyma, której trzymamy się zawsze i wszędzie. Nic też dziwnego, że potem wszelkie kołatania we Wiedniu nie odnoszą pożądanego skutku, bo ten, lub ów minister, wysłuchawszy wywodów delegatów, mających mu przedstawić galicyjską biedę i stałe krzywdzenie naszego kraju przez rząd centralny, kiwa głową z należytą powagą, potem uśmiecha się dobrotliwie, poprawia resztki włosów na tyśnię (jeśli ją *nota bene* ma...), wreszcie rzecze:

— E... Tak źle znów nie jest!... Przesadzacie panowie!... Sam się o tem w czasie mej bytności u was naccznie przekonałem...

Wysłannicy nasi robią wtedy smutną minę, czyli, mówiąc innemi słowy, spuszczają nosy na kwintę i odjeżdżają z niczem, popiwszy przedtem lekko u Ronachera... Ale to tylko ze zmartwienia, aby zalać szelmę robaka!

Głoby tak ich ekscellencye chciały się rzeczywiście przekonać o tem, co nam dolega, radziłbym przybyć do Galicyi *incognito*, tutaj udawać zwykłego śmiertelnika, nawiązać stosunki z przedstawicielami rękodziela, handlu i przemysłu, a ręczę, że wywieźliby stąd zupełnie inne przeświadczenie o naszym dobrobycie, kto y raczej możnaby nazwać galicyjską bryndzą.

Dowiedzieliby się przedewszystkiem, że Wysoki Rząd o tyle interesuje się uprzemysłowieniem kraju, o ile potem ma z tem do czynienia pan inspektor podatkowy, o tem jednak, aby szedł ktoś na rękę rozwijającemu się przemysłowi, niema ani mowy.

Owszem, na każdym kroku robi się trudności. A dzieje się to pod wpływem kapitalistów i przemysłowców niemieckich i czeskich, którzy uważają Galicyę za rynek zbyt dla swych wyrobów, nie mogą więc pozwolić na to, by się tutaj rozwijał przemysł krajowy.

Albo przypatrzmy się, jak się u nas dzieje z dostawami różnego rodzaju dla rządu i wojska.

Trudno Galicyę pominąć zupełnie, trzeba jej rzucić jakiś ochłap, aby nie narzekała. Jeśli więc wiedeńscy przemysłowcy dostarczają rządowi tego, lub owego artykułu za kilkaset tysięcy koron,

usłużna prasa trąbi głośno, że „dzięki zabiegom naszych posłów, a głównie Koła polskiego, w tegorocznych dostawach weźmie kraj nasz wydatny udział, zamówiono już bowiem u naszych producentów dziesięć kilogramów kołków do butów i tuzin sznurowadeł do trzewików dla obrony krajowej...“

A budowa onego kanału historycznego, którą oglądali panowie ministrowie? Czy to nie wstyd, że większą część dostaw oddano np. fabryce witkowskiej, choć daleko lepiej można to było zrobić na miejscu, krajowymi siłami?

Ale trudna rada! Niemieckich przemysłowców drażnić nie można, bo oni mają szeroko rozgałęzione stosunki!

Albo przedstawmy sobie, na jakie przyjemności narażony jest nasz rękodzielnik, lub przemysłowiec, jeśli już udało mu się uzyskać jaką rządową robotę, lub dostawę.

Wykołatał ją po długich, a dolegliwych cierpieniach, zdarł kilka par butów, łażąc po różnych biurach, wydatków miał mnóstwo, bo trzeba było pojechać nawet do Lwowa, lub Wiednia, by osobiście porozumieć się z referentem tej sprawy.

Wreszcie robota się zaczęła.

Ponieważ jednak nie każdy jest w tem szczególnie połączony, by na zawołanie mógł rozporządzać odpowiednią ilością gotówki, a tej przecież koniecznie potrzeba, odnośny przedsiębiorca musi się zapożyczyć, a każdy finansista chętnie użyczy mu kredytu, ale naturalnie każe sobie za to zapłacić, bo dziś niema już na świecie takich dobroczyńców, którzy chcieliby i mogli bezinteresownie podawać innym dłoń pomocną.

Ostatecznie roboty ukończono, teraz trzeba czekać na odbiór, czyli tak zwaną kollaudację, bez której nie otrzyma się zapłaty.

Albo pan referent się nie spieszy, bo on ma więcej tego rodzaju spraw na głowie (raczej na biurku, które, jak wiadomo, jest bardzo ciepłe).

Wreszcie kollaudacja odbyła się szczęśliwie, roboty odebrano i pocieszono szczęśliwca:

— Lada chwila otrzyma pan z namiestnictwa asygnatę!

Mija jednak miesiąc i drugi, o asygnacie ani słychu. Przemysłowcowi doradzają, by tymczasem poprosił o zaliczkę, jak się bowiem zdaje, jeszcze rachunków nie sprawdzono.

Wnosi więc podanie i znowu czeka cierpliwie... no i wreszcie się doczeka, chyba, że ma paskudnego pecha. Bo i to się zdarza!

Pan referent, badając plany i rachunki, wynalazł, że kosztorys zatwierdzony przez departament budowlany, przekroczono o dwanaście i pół halerza, zwraca więc akta i żąda wytłumaczenia.

Ze Lwowa do Krakowa jest daleko, zupełnie tak samo z Krakowa do Lwowa, jeśli więc akta mają kilka razy odbyć drogę tam i napowrót, upływie czasem rok, albo i więcej.

Znam wypadek, gdzie jeden z wyższych urzędników państwowych, widząc, że dostawca nie może się doczekać na zapłatę, a pieniędzy potrzebuje, sam mu dobrowolnie zaproponował, iż podpisze mu weksel, który może sobie tymczasem w banku zeskontować...

Albo taki urzędnik obywatel znajdzie się jeden na stu. Sąd zresztą przychodzi rękodzielnik, lub przemysłowiec do tego, by płacić grube procenty, jedynie z tego powodu, iż urzędowy *szimmel* kula wieje i nie chce ciągnąć?...

Maszyna urzędowa funkcjonuje u nas bardzo powoli, jedynie śruba podatkowa jest bez zarzutu, wobec czego zgadzam się zupełnie z wywodami jednego z krakowskich przemysłowców, który, gdy mu tłumaczył, że rząd traktuje nas po macoszemu, zauważył z chytrym uśmiechem:

— Tak! ma pan słuszność... ale tylko pod pewnym względem! Nie można tak generalizować! Jest jedna dykasterya, która o nas, nie zapomina i troszczy się o nas może nawet zanadto!

— Któż to taki?

— Pan inspektor podatkowy!...

Przyznałem mu, ma się rozumieć, najzupełniejszą rację.

Za przykładem Wysokiego Rządu idą także władze autonomiczne, nie też dziwnego, że nasz handel i przemysł wegetują tylko i nie mogą się należycie rozwijać.

O tem wszystkiem, nie dowiedzą się jednak ich ekscellencye w czasie urzędowej podróży, która, powiedzmy grzecznie, nie owijając jednak w bawełnę, jest tylko mydleniem oczu, że rząd o kraj dba i interesuje się jego przemysłowym rozwojem.

Nie odmawiam obu panom ministrom dobrej woli; oni nie ponoszą tu osobiście winy, winien tu niezdrowy prąd, idący od Wiednia w stronę innych

krajów koronnych, głównie zaś Galicyi, z którą jako najlojalniejszą, nikt się już nie liczy...

Gotów mnie kto może posądzić o hypochondryę i patrzeć na świat przez zbyt czarne okulary, przyznam się, że wolę je, niż zbyt różowe, bo przy używaniu tych ostatnich w rezultacie dochodzi się zawsze do przykrego rozczarowania.

A i na to mogę służyć dowodem i to z życia codziennego...

Pewna jejmościanka, ukończywszy seminaryum nauczycielskie, zdawszy maturę i przeszedłszy wogóle przez wszelkie alembiki, prowadzące do uprawienia na wykonywanie urzędu nauczycielskiego, cieszyła się ogromnie, że świat przed nią stoi otworem... Patrzyła biedaczka na to życie przez zbyt różowe szkła i rwała się do pracy...

Ale, jakież smutne spotkało ją rozczarowanie zaraz na wstępie!

Dowiaduje się, że pewna dama z arystokracji poszukuje rutynowanej nauczycielki do swych dwu córeczek, wnosi więc ofertę i umawia się o warunki. Wymagany jest język francuski, znajomość gry na fortepianie, o mało, że nie chłuszczyna lub coś podobnego.

— Nauczycielka musi mieć na oku obie moje córeczki — rzecz poważna matrona — bezustannie od godziny dwunastej do dziewiątej wieczór... z każdą z nich grać po godzinie na fortepianie, potem przejść się z niemi, wieczorem przerobić lekcye, a także dopomóc i synkowi, który chodzi do czwartej normalnej... Ale to bardzo zdolny chłopiec, więc mało z nim będzie kłopotu...

— A cóż z jedzeniem przez ten czas? — pyta skromnie nauczycielka.

— Może pani przynieść ze sobą bułeczkę, lub ciasteczko i przegrzyć w wolnej chwili, zastrzegam się jednak, by zbyt wiele nie tracić na to czasu i nie naśmiecć w pokoju... Ostatecznie może pani wtedy wyjść do sieni...

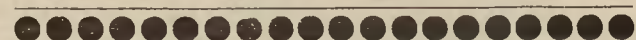
— A wynagrodzenie?

— Co do wynagrodzenia, to ja byłabym za dzienną płacą, bo łatwiej mi będzie stracić pewną kwotę, gdyby pani na przykład kiedyś nie przyszła... Ofiaruję zaś po trzydziści centów dziennie... Sądję, że to zupełnie wystarczające!

Biedna nauczycielka omal z krzesła nie spadła, słysząc, jakie hojne czeka ją honorarium i przeklinała tę chwilę, w której przekroczyła progi szkolne... Czy nie lepiej było zgłosić się do fabryki cygar, gdzie zarabia się przynajmniej dwa lub trzy razy tyle, ma się lekarza, kasę chorych, zaopatrzenie w czasie słabości?...

Trzydziści centów, czyli sześćdziesiąt halerzy za dziewięć godzin pracy, i to pracy ciężkiej, to rzeczywiście królewskie wynagrodzenie! Warto było uczyć się i mozolić, warto było nieraz może o chłodzi i głodzie spędzać dni i nocy nad książką i zeszytem...

Za ośm godziniennej pracy przeciętny robotnik każe sobie zapłacić często i pięć koron, jeśli mu zaś nie dadzą, zastrekuje, a partya ujmie się za nim. Tylko ten biedny głodomór, wabiący się szumnie „światłodawcą“ nie może znaleźć nikogo, ktoby się ujął za nim i napiętnował fakt, wołający po prostu o pomstę do nieba!



MAGAZYN NOWOSCI B. WIERZEJSKIEGO

poleca

już nadeszły oryginalne angielskie
PŁASZCZE JESIENNE I ZIMOWE
 KRAKÓW, RYNEK LINIA A-B.

